Nr. 23. Lwów, 4. czerwca 1899. Rok XVI.

NIEDZIELA

PISMO TYGODNIOWE.

Nakładem „Macierzy polskiej“.

PRZEDPŁATA WYNOSI
W cesarstwie austryackiem:
Rocznie . . . 2 złr. Półrocznie . . . 1 złr.
Za granicą:
Rocznie . . 6 mrk. Półrocznie . . 3 mrk.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA
we Lwowie, Gmach sejmowy. Biuro Macierzy polskiej
Rękopisów Redakcya nie zwraca. — Reklamacye nieopieczętowane wolne są od opłaty pocztowej. — Po ośmiu dniach nie uwzględnia się reklamacyi.
Ogłoszenia oblicza się po 10 kr. za wiersz drobnym drukiem

Prenumeratę i wszelką korespondencyę nadsyłać pod adresem: Biuro „Macierzy polskiej“, Lwów, Gmach sejmowy.

Wiec mocarstw.

Stolica małego królestwa holenderskiego, Haga, zwraca teraz na siebie i zwracać będzie przez trzy miesiące uwagę świata całego. Zjechali się w niej ministrowie i przedstawiciele nietylko wielkich mocarstw, ale i lada jakich królestw i księstw; bez czterech byłaby okrągła setka tych dygnitarzy. Mają radzić nad sprawą nie byle jaką. Car moskiewski odezwał się w przeszłym roku z tem, czyby nie było dobrze wszystkim się naraz rozbroić i zaprzestać wojen. Prawda, że już od czasu, jak Kain rzucił się na Abla, wciąż ludzie powiadają, że każda bójka wcale nie jest rzeczą godziwą dla człowieka, a różni filozofowie całe nawet księgi popisali o wieczystym pokoju dla ludzkości. Ale mimo to ludzie wciąż się bili: filozofowie piszą pięknie — powiadano — jeno oni nie rządzą państwami, nie mają władzy nad wojskiem, czemu nikt się nie odezwie z władców? I oto odezwał się car Mikołaj II., o którym już od chwili wstąpienia na tron, trąbiły różne gazety na cały świat, że to człowiek mający zamiłowanie do rozumu, sprawiedliwości i wolności, a władca 120 miljonowego państwa; to nie żarty, co powie, może zrobić. W odezwie, którą on przez swego ministra rozesłał do wszystkich rządów i monarchów, kazał napisać, że nie broń powinna rozstrzygać o krzywdach i prawach ludzkich, lecz rozum, a słuszność i sprawiedliwość niech zapanuje w stosunkach między państwami i narodami.

Śliczna to rzecz i godna naprawdę tak wielkiego mocarza.

— Ale — odezwali się niektórzy na to ludzie — nowa praca, a robota; jeśli car na prawdę tego pragnie, o czem mówi, to niech sam da przykład z siebie: niech każe złożyć broń całemu swemu miljonowemu wojsku, i rzecz skończona: inni pójdą za jego przykładem.

— Tak być nie może — odpowiadali inni. Wszak bywają źli ludzie i złe rządy

na świecie. Inni mogliby skorzystać z tego, że Rosya bezbronna, napadliby na nią i rozgrabili, a nie byłoby czem jej bronić; car by wyszedł jak Zabłocki na mydle, i jeszcze by się później wszyscy śmieli z jego prostoduszności. Nie, tak być nie może: powinni się wpierw wszyscy naraz rozbroić, a wtenczas sprawdziło by się przysłowie, że goły rozboju się nie boi

Jakoż rządy i monarchowie zgodzili się na propozycyę carską, aby się zjechać i naradzić nad tym przedmiotem.

Otucha wstąpiła w serca ludów..

I w rzeczy samej. Pomyśleć tylko o tem, ile to ofiar pochłania teraz wojna w ludziach i w pieniądzach! Niejedno państwo, co przed kilkudziesięciu laty miało 60.000 żołnierza, dziś go ma 360.000, a to, co rozrządzało stutysięczną armią, teraz nie zadawalnia się nawet miljonową. Z dniem każdym rosną i mnożą się wymagania, a z niemi wzrasta coraz większa obawa i niepokój. Niech tylko Francya w którymkolwiek roku pomnoży swą armię o 10 tysięcy, to wnet Niemcy pomnażają swoją o 20 tysięcy, aby dorównać Francyi, lub mieć nad nią przewagę. To samo dzieje się z każdym. Ulepszenia w uzbrojeniu zmieniają się co lat parę, nieraz co roku. Zaledwo wydało jedno państwo kilkadziesiąt miljonów na nowe karabiny, aż tu nadchodzi wiadomość, że u sąsiada wynaleziono nowe: przekupiono szpiegów, wykradziono tajemnicę i dalejże do roboty nowych; stare wczorajsze zarzucono, a znów kilkadziesiąt miljonów trzeba wydać na nowe uzbrojenia, byle nie pozostać w tyle; sąsiad może lepszą bronią pobić nas, trzebą mieć taką samą, a nawet lepszą. Żadne zapasy pieniężne nie wystarczają; potrzeba co raz to nowych i coraz większych podatków; ludność już nie może podołać i ugina się pod brzemieniem ciężaru.

I oto naraz na propozycyę carską to wszystko ustaje, broń się pali i łamie, żołnierze rozpuszczają się do domów, wojny niema. Ludności można nietylko zniżyć podatki, idące dotąd na uzbrojenie, ale przybywa jej nowa siła, nowe bogactwo; tyle miljonów żołnierzy, które potrzeba było utrzymywać, nietylko nic teraz potrzebować nie będą, ale wrócą

Ołena.

Powieść z życia Unitów chełmskich.

(Ciąg dalszy).

Gdzie okiem rzucić, wszędzie widnokrąg obramowany ciemnym pasem lasów; kraj to sosen, które potrząsając koronami, szumią smutnie, odmiennie od drzew wszelkich, tak smutnie, jak smutny jest los ludu, który kraj ten zamieszkuje.

Słońce zachodzące złociło już tylko szczyty drzew, kiedy Ołena wychodziła z lasu, niosąc pełen dzban poziomek, krasnych jak jej usta. Usiadła na skraju i rozwiązała chusteczkę, całą piersią odetchnęła. Lubowała się spoczynkiem...

Wtem dwoje rąk przysłoniło oczy dziewczynie, i głos, na dźwięk którego drgnęła, zapytał:

— Zgadnij, kto taki?

Ołena zerwała się szybko, udała obrażoną, choć oczy, usta i twarz cała śmiała się do pięknego chłopca, który stał na przeciw i bynajmniej nie ze skruszoną miną zaglądał w oczy.

— Gniewasz się jeszcze? — pytał.

— Gniewam... — odparła — odwracając oczy.

— Kiedy się gniewasz, to muszę przeprosić, i nim dziewczyna się obejrzała, porwał ją wpół, i wycisnął pocałunek na jej pełnych ustach.

Nagle odskoczyli od siebie... Tuż obok nich zabrzmiał szatański złośliwy śmiech —

do ognisk swoich, pracować będą i zarabiać na chleb, wytwarzać nowe bogactwa.

Ale co się stanie z narodami ujarzmionymi i uciśnionymi? Kiedy była broń, Holandya mogła wydobyć się na niepodległość, Belgia wyszła z pod opieki, Grecya i Serbia podniosły powstanie przeciwko rządom tureckim i wywalczyły sobie wolność. Cóż się więc teraz stanie z Irlandją, z Armenią, z Polską i tylu innymi ludami? Napadł rabuś na spokojnego chłopa, zabrał mu wszystko ze skrzyni, a kiedy chłop popędził za nim z kosą, ten powiada: „No, bracie, nie kłóćmy się, ja porzucę swój nóż, ty swoją kosę, rozbroimy się, niech odtąd będzie spokój między nami. „Ale o zwrocie zagrabionego mienia nic nie mówi. Czy tak właśnie ma być teraz z rządami i narodami?

— Nie, mówią na to niektórzy: rozbrojenie obowiązuje tylko rządy. Owszem, niech się rozbrajają, to narodom uciśnionym będzie lepiej, bo mogą broń zabrać i podnieść ją przeciw ciemięzcom.

— To nieładnie byłoby — odpowiadają inni — a nie wiadomo, czy i dałoby się zrobić, bo broni by wówczas wcale nie wyrabiano; chyba ludzie biliby się cepami i kosami. Ale do tego nie powinno by dojść, bo przecież car zaproponował, aby sprawiedliwość i słuszność zapanowała między państwami i narodami, to znaczy, że uciśnionym narodom należy zwrócić ich mienie, ich prawa i oddać mu sprawiedliwość.

I oto aby przypomnieć te swoje prawa, szlą te i owe ludy słowa upomnienia do owego kongresu w Hadze: posłali wychodzcy nasi amerykańscy w imieniu Polski, posyłają Ormianie dla siebie, przygotowują też i inni.

Zaczęło wyłazić szydło z worka, a tak jawnie, że się zakłopotali dostojnicy jadący do Hagi, choć już wszystkim wiadomo było, że to szydło dawno tam tkwiło.

W tym samym czasie bowiem, kiedy z polecenia cara rozsyłano zaproszenia do narad nad rozbrojeniem i powoływano się na sprawiedliwość, zaczęto tworzyć nowe pułki we Francyi, Prusach, Rosyi i t. p.; pod rządami pruskimi wzmocniono ucisk Polaków i Duńczyków, ba, nawet pod rządem tegoż samego cara urządzono

---

cha, cha, cha, śmiał się Makar, — cha, cha, cha, echa mu odpowiadały, i zdało się, że nagle cały las rozbrzmiewa jakąś piekielną melodyą.

— Kiedyż zapowiedzi? — pytał drwiąco. Kiedy wesele?

— Wtedy, kiedy będzie! — a wam co do tego? — odrzekł butnie chłopak.

— Czy będzie? to pytanie — zasyczał Makar, — a co mi do tego? to się okaże!

Naraz krzyknął w pasyi: Chłystku! nie zaczynaj ze mną, bo tam pójdziesz, gdzie się nie wybierasz...

Hrehor porwał się do chłopa ze ściśniętą pięścią, ale Ołena ruchem błagalnym go zatrzymała. Tymczasem z lasu nadeszli ludzie z którymi się Makar połączył, nie chcąc przy obcych o dziewczynę wieść kłótni.

Młodzi poszli razem. Dziewczyna płakała, Hrehor odgrażał się, że zbije jak psa Makara, gdy mu w drogę wchodzić będzie.

— Oj, żeby to się raz skończyło, żeby prędko wyjechać, bo do nieszczęścia przyjdzie — biadała Ołena.

— Żniwa się skończą, pójdziemy w świat szukać szczęścia, pani mnie też jechać pozwala, jak matce wszystkom wyznał, pieniędzy obiecała, będzie na początek gospodarstwa, nie płacz niebogo, świat przed nami...

* * *

Żniwa się kończyły, łan dworski był na zżęciu. Jak barwne ptaki, migały różnokolorowe ubrania kobiet, sierpy połyskiwały w jasnem słońcu, a pieśń wzlatała wysoko, po nad ludzi, ścierniska, i stojące jeszcze zboże.

gwałtowniejszy pościg na Polaków, a Finlandczykom odbierają resztę konstytucyi.

Jest sekta religijna w Rosyi, tak zwanych „duchoborców“, kilka, kilkanaście tysięcy ludzi, bardzo uczciwych i pracowitych, ale niechcących służyć w wojsku, bo im religia ich to wzbrania. Rząd rosyjski bierze ich w sołdaty i zmusza do noszenia karabina. Wzbraniają się jak mogą: róbcie z nami co chcecie — powiadają oni — ale nam wiara nasza zabrania zabijać nietylko ludzi, ale i zwierzęta. Nie słuchają ich, opornych ćwiczą rózgami, wysyłają na Sybir, rzucają do więzienia, mordują na śmierć. Jeśli car wie o tem, dlaczego pozwala na to? Wszakże gdyby tych kilkuset, czy choćby kilku tysięcy duchoborców wypuszczono z wojska i uwolniono ze służby, nie ucierpiałaby siła zbrojna Rosyi, a byłoby stwierdzenie słów wygłoszonych przez cara. Wszakże ci ludzie chcą tego samego co car, a czemuż ich mordują? Czy mordowanie ich nie przekonywa, że narada nad rozbrojeniem nie jest szczerą?

Spostrzeżono się na tych sprzecznościach i przestraszono się domagań narodów. Już w drugich zaprosinach i okólniku carskiego ministra Murawiewa niema ani słowa o sprawiedliwości. Dziennik angielski, piszący o pokoju i rozbrojeniu, konfiskują w Rosyi i nie dają go czytać nawet ministrom, a zebrani w Hadze dostojnicy państw, wybrali z pośród siebie 3 komisye, z których jedna ma radzić nad tem, jakie okręta prywatne podczas wojny wolno rozbijać lub nie, druga nad tem, czy bomby mają być napełniane prochem lub dynamitem, a trzecia chyba nad sposobem wypowiadania wojny: zabijać wolno będzie, jeno grzecznie trzeba to zaprowadzić.

Oto w co się zamieniły te głośne zapowiedzi: z wielkiej chmury mały deszcz. Car zaprosił na wiec, tedy nie wypadało mu odmówić, owszem, dla grzeczności wybrano wysłannika carskiego przewodniczącym wiecu, a pod jego przewodnictwem uchwalono, aby żadnych skarg od narodów uciśnionych nie przyjmować.

Ale narody umieją czekać cierpliwie, wiedzą one, że dziś i rząd uczciwy zbroić się musi, aby go nie zaskoczył z nienacka niesumienny; uśmierzyć wpierw

---

Skwar dobiegającego południa i pośpiech, operlały kroplami potu czoła ludzkie. To dożynki. Gwarno i wesoło wśród pracy. Ochoczo snopki ładują na wozy. Trzeba wcześniej robotę skończyć i wić wieńce, które złożą u stóp dziedziczki, a potem pląsy. Aż się śmieją wszystkie twarze na myśl poczęstunku i tańców.

Ołena przodownica, jak wódz wiodła swój barwny hufiec do boju i padały w pokłonie do jej stóp złote kłosy. Na polu zostały już tylko ścierniska. Gromadka zebrała się pod drzewami na odpoczynek.

Na uboczu Ołena rozmawiała z jedną z wieśniaczek, siostrą swą cioteczną.

— Na co wam wyjeżdżać — mówiła Małanka. — po co rzucać chatę i gospodarstwo? Zróbcie tak jak my, przez granicę się przesmyknijcie, weźcie ślub i idź do chaty Hrehora. Ciężka to dola takiej żony i dzieciaków, co to prawa u rządu nie ma, ale cóż robić, robią tak inne, zrób i ty, może bieda się skończy, a niemiło rzucać stron swoich.

— Oj, nie miło, nie miło, potakiwała Ołena, ale my inaczej zrobić nie możemy, za tobą nikt nie stał, za mną Makar, przysiągł zemstę, gdy za niego nie pójdę.

Małanka nic już nie odrzekła, znała zawziętość i złość Makara, obie poczęły wzdychać i smutnie kiwać głowami.

Tymczasem przybiegły inne dziewczęta do Ołeny, i wśród śmiechów i żartów oświadczyły, że ona, jako przodownica, wręczy dziedziczce wieniec i bukiet z pszenicy.

trzeba ludy łakome, wytępić rządy zaborcze, a uzbrojenia ustaną same przez się. Pierwsi Niemcy pochwalili projekt carski. Oddajcież panowie Moskale i Prusacy prawym właścicielom wszystko to, coście od nich zagrabili podstępnie i siłą miecza, a później dopiero mówcie o dobrodziejstwach pokoju; dziś mowa wasza jest urąganiem prawdzie i dalszym podstępem.

Pisarz niedzielny.

O biedzie chłopskiej.

Głos wspólny
Kazimierza Józefczyka i Marcina Smereki,

gospodarzy z Strzałkowic pod Samborem.

Obaj ci wymienieni powyżej szanowni gospodarze nadesłali na nasz konkurs obszerne pismo, w którem jako jeden z najgłówniejszych powodów opłakanych stosunków między ludem wiejskim podają niewykonywanie ustaw, brak dostatecznej opieki zwierzchności rządowych i autonomicznych nad gminami, brak nadzoru i czujności nad tem, aby przepisów obowiązujących nie wymijano i samowolnie nie nakręcano z krzywdą ogółu i jednostek. Pisanie swoje zakończyli oni wskazaniem, jak być powinno, a jak niestety jeszcze nie jest, i podali nam wzorowy przykład takiej gminy, jakiejby potrzeba, aby zapanował ład i dobrobyt. Oto, jak sobie obaj wymienieni gospodarze wyobrażają gospodarstwo gminy wzorowej:

„Na przykład przychodzą wybory do Rady gminnej; głosi wójt, że w tym roku mamy wybory; będą za sześć tygodni, zaś za dwa tygodnie będzie wyłożona lista wyborcza do przeglądnięcia, czy wszyscy wpisani; będzie w tem a w tem miejscu; nikt wam nie będzie przeszkadzał; czytajcie sobie, a dobrze pamiętajcie, kto do którego koła należy. Dalej pójdzie wójt do księdza, opowie o tem, ksiądz zaś przemówi: „Słuchajcie dzieci, ważna chwila dla was, będziecie wybie-

---

— Ty, ty, Ołeno, oświadczyła tęga, krępa Zośka, to jako dziewczyna, może ostatni raz wyszłaś na żniwa, a w uśmiechu szerokim zabłysły jej wszystkie zęby, zdrowe jak orzechy. Inne poczęły z przekąsem przebąkiwać imiona Makara i Hrehora.

— Ha! ha! — wołała Zośka — Ołena rodyła sia krasna i szczasna, zabrała nam dwóch, najładniejszego i najbogatszego chłopa we wsi.

— Możecie bogatego brać, nie trzymam go.

— A Hrehora nie dasz? — zaśmiały się.

— Nie, nie! — odrzekła.

— Nic dziwnego, — mówiła Zośka — bo ona sprawiedliwie najładniejsza dziewka we wsi i robota najdokładniej jej idzie.

— U wa! — przerwała Maryna — wysoka, chuda dziewczyna, czy to ona tylko jedna.

— Może ty z nią do pary, — zadrwiła Zośka, — choć się przystrajasz na jej wzór, nic ci nie pomoże.

— A wy jej nie naśladujecie — zaperzyła się Maryna.

Zośka wzięła się pod boki. — To i cóż? sprawiedliwie tak jest, bo z niej moda na całą wieś wyłazi.

Długo jeszcze pod lasem śmiech i żarty słychać było, nareszcie zabrały się do domów dziewczęta z pękami zboża i kwiatów na wieńce. Wesoły był to dzień i wieczór dla wioski, już drugie kury piały, gdy wracano do chałup z poczęstunku.

rać Radę gminną; jeżeli wybierzecie dobrą, będzie wszystko wasze dobro i będzie wam dobrze, a jeśli nie, to przeciwnie; dlatego wybierajcie ludzi poważnych, mądrych, trzeźwych, pobożnych, pracowitych, doświadczonych i wam życzliwych; o to ja, wasz duszpasterz, was upominam".

Wójt przygotował listę, wypisał koła wyborcze i obwieścił, że za cztery tygodnie wybory, potęm na 8 dni uwiadomił Starostwo i ogłosił dzień i miejsce wyborów. Przyjechał komisarz ze Starostwa, przyszedł pleban i trzecie koło, agitacya już ustała; wójt wybrał komisyę ze starej rady, ludzi nieposzlakowanych, a komisarz ogłosił, że się zaczynają wybory i spytał, czy się już wspólnie naradzili, kogo mają wybierać, i że mogą i z tych, co należą do innych kół, stawiać kandydatów, jeśli chcą. I tak to poszło raz, dwa. Potem wybierało drugie i pierwsze koło i już wybory skończone, cicho i spokojnie; coś trzech krzykaczów chciało protestować, ale że nie mieli żadnej racyi, umilknąć musieli. Za 8 dni zeszła się rada, wybrali wójta. Najlepszy to w gminie człowiek, wódki nie pije, do karczmy nie chodzi, z kościołem trzyma; będzie dobrze. Wybrali mu zastępców, wybrali policyanta, poszli do Starostwa, zaprzysięgli i urzędują.

Zeszli się pierwszy raz w niedzielę Rada i ksiądz, uchwalili zawiązać Kółko rolnicze, aby można prędzej biedę wspólnie wziąć za barki, wpisali się do Kółka, wybrali uczciwy zarząd, poskładali gospodarze udziały, wybudowali sklep, oddali w godne ręce kierownictwo, i otworzyli dość wielki handel. Zaraz ksiądz z ambony zachęcał i perswadował, ażeby się wydrzeć z żydowskich rąk, nie iść do żyda tylko do sklepu chrześciańskiego, bo to nasze dobro, zaś wójt nieposłusznych skarcił, a niektórych surowo ukarał i zawstydził. Pozostałości dochodowe z handlu wpłynęły do kasy gminnej i już mają mniejszy podatek. Założyli następnie przy sklepie czytelnię, tam ksiądz zagląda często, a co niedziela przychodzą tam i młodzi i starzy, czytają; ksiądz dał wiele swoich książek i czasopism, inne ze składek prenumerują, a i Wydział daje i Macierz Polska nadsy-

---

Ołena szła ze dworu w towarzystwie matki i Hrehora.

— Trzeba myśleć o wyjeździe i to rychło, — mówiła szeptem stara. Makar dziś mnie napastował, ślub naznaczył za dwa tygodnie, mówiłam, że dziewczyna doń woli nie ma, mówił, że i bez woli ją weźmie, a gdy się opierać będzie, groził, że mnie wyda strażnikom, ma świadków, że w B. byłam u spowiedzi i że Małanki dziecko do chrztu nosiłam, zgubi, zgubi nas niechybnie.

— Och, neszczasływa ja, neszczasływa,— skarżyła się cicho Ołenka.

Hrehor tylko pięści ściskał...

— Nie ma co, na przyszły tydzień jedziemy — zadecydował. Księżyc teraz późno wschodzi, wyjedziemy wcześniej, gdy zejdzie, będziemy daleko. Raz trzeba skończyć, bo od frasunku człek jak ta mara chodzi po świecie.

Kobiety chętnie przystały.

— Trzeba iść do pani — mówiła stara — pieniądze wziąć, bo bez tego ani rusz, za chatę obiecała zapłacić, choć jej brać nie będzie, rząd weźmie. Niech Bóg dziedziczce zapłaci za wszystko dobre, bez niej przyszłoby ginąć.

— Bóg z tobą Hrehor, późno już rzekła wchodząc do chaty dziewczyna, jeszcze chwilę rozmawiając z kochankiem.

(Dokończenie nastąpi).

Anna Frankowska.

ła i jest co czytać, aż miło. (I u nas tak było, ale ksiądz odjechał, a wójt skasował!)

Wójt pędzi młodzież z karczmy do czytelni, ksiądz karci nicponiów, cała Rada pomaga, bo uchwala na tych, co się upiją w karczmie, karę aresztu przez dobę, a na żyda, co ich upaja, grzywnę pieniężną. Ksiądz zaprowadza w kościele bractwo trzeźwości i tak zachęca, że połowa ludzi w gminie wyrzeka się wódki, a druga połowa wstydzi się pić. Pieniądze oszczędzone przez omijanie karczmy składają ludkowie chętnie na ręce wójta i księdza, majętniejsi gospodarze przyczyniają się składkami i tak powstaje szczuplutka, wprawdzie jeszcze w pieluchach, ale rosnąca ciągle kasa spółkowa systemu Rajfajzena. I tak potrzebujących pożyczki wyrwano z lichwiarskich uścisków pejsatego przyjaciela.

Dalej Rada gminna wydała przepis, że żadnemu młodzieńcowi nie wolno palić papierosów, aż po 18-tu latach, a wójt zapowiedział za nieposłuszeństwo stosowną karę, na majętniejszych grzywnę 50 ct., na biedniejszych areszt. Na ulicy, na wsi, broń Boże kogo obaczyć z fajką lub cygarem, bo kara ostra; na granicach gminy postawiono słupy z napisem, tak jak to na Węgrzech jest zwyczaj: „Nie wolno palić!“ Z funduszów sklepu i kasy sprawiła gmina sikawkę i założyła straż pożarną, która jest wielkiem dobrodziejstwem w gminie i okolicy. Ustanowiono przymusową asekuracyę, teraz o wiele tańszą, i agencyę w gminie zrobiono; ma z tego jeden gospodarz ładny dochód. Dalej wybrano z pomiędzy siebie sędziów pokoju; ci zaprzysięgli i wszystkich powaśnionych jednają w gminie, a jeżeli których nie pogodzą tutaj, to wtenczas sam wójt wnosi do sądu, ażeby nie płacić adwokatów i pokątnych pisarzy i nie marnować drogiego czasu na termina.

Dalej wójt korzystając z pobliża rządowego lekarza, ugodził się z nim, i skoro kto zachoruje, tylko furę poszlą, a on przyjeżdża i od biedniejszych nie bierze nic, tylko podpis i pieczęć od wójta, majętniejsi trochę płacą, ale zawsze przyjedzie. Ksiądz wybrał majętne niewiasty, ażeby doglądały biednych chorych, pocieszały, i zaopatrywały w żywność nim wyzdrowieją, potem wybrano dom w gminie na ochronkę, gdzie podczas robót polowych znosiły kobiety dzieci swoje i tam je staruszki kobiety pilnowały za małe wynagrodzenie, a zdolni szli wszyscy do pracy.

Było cztery stawy w gminie, w których pierwej bezrogi odbijały swoje postacie w błocie, teraz stawy wykopano, ogrodzono, zarybiono i zyskano przeszło 200 zł. dochodu rocznie i znowu podatek zmniejszony o tyleż. Mieli przy rzeczce rozległy plac gminny, pusty, szutrowy, nieużyteczny; zasadzili go łoziną, a teraz wszyscy mają ładne płoty i koszykarstwa się uczą, i mają pieniądze za chrósty. Mieli za wsią krąg bagnisty, nieużyteczny, wydrenowali go rowami, osuszyli, Wydział krajowy im dopomógł, i mają prześliczną łąkę, z której pokrywają część wydatków gminnych i podpierają kasę. Z drugiej strony był pusty plac wielki, kamienisty, tam kamienie uprzątnęli, zorali i zasiali żyto na kościach, potem owies, konicz i tak dalej, a teraz biedni mają tam robotę i zarobek, a szpichlerz gminny aż trzeszczy nabity zbożem dla potrzebujących. Wybrano następnie jednego z wybitniejszych gospodarzy, który przy sklepie urządził mleczarnię, skupował wszystkie produkta nabiałowe na wagę, a potem sprzedawał kupcom hurtownym, ażeby uniknąć szachrajstwa palestyńskich przemysłowców. Drugi znowu zabrał się do skupowania jaj i wszelkiego rodzaju drobiu, ażeby ludzie na głupstwa nie marnowali drogiego czasu.

Dalej gospodarze po naradzeniu się z lustratorem na zebraniu Kółka, sadzili drzewa przy drogach, po rowach, na zapłotkach, na granicach pól, ażeby było paliwa dostatek na cały rok, ogrody obsadzono żywym płotem, w ogrodach pielęgnowano liczne drzewa owocowe, nieużyte miejsca poza chatami, po pod płotami, obsadzili kilkuletniemi ziemniakami, aby mieli pożywienie dla bezrogów, ulepszyli uprawę roli, sprowadzili nasiona, ziemniaków i lnu, postarali się o rasowy płód bezrogów i innego bydła, sprowadzili rurkę do ratowania bydła wzdętego; szanowali nawóz inaczej jak pierwej, znaleźli zdolnego majstra do stawiania ulepszonych domów mieszkalnych z kominami; komisya sanitarna pilnowała czystości w całej gminie.

I oto patrzcie, co za dziwo! A gdzie nasz grzeczny żydek? Oto odpędza ludzkie bezrogi od walącej się karczmy, a jak wygląda? Ledwie go poznać można, ma wprawdzie brodę i pejsy jak pierwej, ale więcej nic; oczy w dołkach mu się tarzają, jak kury w prochu, między niemi wyschnięty nos jakby dziób sowi, a chałat na nim tak grad zbił, że gdyby go Sura do koszuli nie poprzyszywała, jużby był spadł z niego, i troki wiszą przy nim, ale ze starych postronków od gospodarskiej uprzęży.

Otóż przykład dla naszych gmin. Tak powinny wyglądać nasze wsie, oczywiście z małemi odmianami, bo gminy są różne i na różnych obszarach, ale chęci dobrych trzeba wszędzie jednakowych. Więc chcąc zaradzić biedzie chłopskiej, musi się zacząć od najwyższych, ci muszą wziąć się ostro w dopilnowaniu niższych, a ci jeszcze niższych, aż do warstwy chłopskiej, a skutki działania pokażą się od dołu do góry. Naprzód chłop będzie działał i ucieszy się, że jest odrodzony, potem wyżsi, a potem najwyżsi poznają skutki swej uciążliwej pracy, bo wszystko tylko społeczność sprawia, a wtenczas chłop przestanie narzekać na biedę. A gdy się tak stanie, to wtenczas gdyby się ktoś puścił balonem w górę, toby zobaczył całe Wielkie Księstwo Krakowskie i Ruś Czerwoną jakby inspekta założone na skałach!. Więc daj Boże szczęście — i do pracy!“

Wiadomości kościelne.

W tym roku będzie ks. biskup-sufragan dr. Józef Weber odbywać wizytacyę kanoniczną w dekanacie żółkiewskim i lubaczowskim. Dnia 14. maja odbył już wizytacyę kanoniczną w Żółtańcach, a 28. maja w Kulikowie. Następne wizytacye odbywać będzie w następującym porządku: 4. i 5. czerwca w Żółkwi, 6. w Wiesenbergu, 7. w Magierowie, 8. w Potyliczu, 9. i 10. w Horyńcu, 11. w Niemirowie, 12. w Łukawcu, 13. w Kobylnicy, 14. i 15. w Oleszycach, 16. i 17. w Dzikowie, 18. i 19. w Cieszanowie, 20. i 21. w Płazowie, 22. w Narolu, 23. i 24. w Lipsku, 25. i 26. w Rawie ruskiej, 27. w Rzyczkach. — Odznaczeni: ksiądz Józef Schmied, proboszcz w Czerniowcach, otrzymał godność protonotaryusza Ojca św. Również w dyecezyi krakowskiej odbywał w zeszłym miesiącu wizytacyę kanoniczną książę-biskup Puzyna w dekanacie skawińskim.

Wiadomości z ziem polskich.

* Z Warszawy donoszą o aresztowaniu p. Hempla, obywatela z powiatu janowskiego, gubernii lubelskiej. Oskarżają go o rozpowszechnianie wydawnictw ludowych. Jednocześnie aresztowano dwóch włościan, Piotra Zaka i Antoniego Dudziaka. Hempla i Zaka przewieziono do cytadeli, Dudziaka zaś po krótkim pobycie w więzieniu janowskiem, wypuszczono. Ponieważ Zak i Dudziak nale-

żeli do gromadki włościan, którzy w roku ubiegłym zwiedzili Warszawę i fotografowali się razem z p. Malinowskim, redaktorem *Zorzy*, dokonano rewizyi w redakcyi tego pisma i zabrano do przejrzenia spis prenumeratorów i księgę kasową. Chodziło o to, czy redakcya *Zorzy* nie rozsyła darmo pisma niektórym czytelnikom, co teraz u Moskali jest wielką zbrodnią. Księgi następnie zwrócono, i p. Malinowskiego zostawiono w spokoju okazało się bowiem, iż fotografia zbiorowa włościan była nawet zamieszczona w *Zorzy* za pozwoleniem cenzury.

* W sejmie pruskim obradowano nad tem, jakim sposobem zaradzić brakowi robotnika w rolnictwie. Uchwalono rozmaite środki zaradcze, a między innemi niektóre bardzo praktyczne. Podczas żniw, ma rząd jak najmniej robotników zajmować przy robotach państwowych — dalej robotnicy, co skazani zostali na więzienie za mniejsze przewinienia, podczas najgwałtowniejszych robót w rolnictwie, nie mają być wsadzani do więzienia, ale uwięzieni dopiero, o ile się to da po ukończeniu tych prac; a dalej więźniowie i karygodni mają być zatrudnieni więcej przy pracach w roli, niż dotąd. Rozprawy się ożywiły nad paragrafem, który żąda uwzględnienia stosunków w rolnictwie przy ustanowieniu czasu szkolnego na wsiach. To znaczy, że miejscami, gdzie się to da bez uszczerbku dla nauki, mają dzieci tylko pół dnia chodzić do szkoły, dalej wakacye należy ustanowić wtedy, kiedy rolnik ma najwięcej roboty w polu, żeby dzieci szkolne można użyć do lekkich prac. W czasie żniwa, lub w czasie wykopków, kiedy rolnik ma najwięcej pracy w polu, dzieci szkolne dopomódz mu mogą przy lżejszych pracach. Sami rodzice będą już dbali, żeby dzieci im się nie zamęczyły. Lżejsze prace nie zaszkodzą wcale zdrowiu dzieci. Szkoła może też ułożyć plan nauki tak, żeby dzieci co do nauki nie poniosły szkody. Dla rolnictwa będzie to wielką pomocą.

* Żądanie policyi pruskiej w Świeciu, żeby kupcy i przemysłowcy polscy na pierwszem miejscu na szyldach umieszczali napis niemiecki, zostało przez wyższą władzę uznane za nieprawne. Skutek tej awantury był taki, że ci inni kupcy i rzemieślnicy Polacy, którzy dotychczas napisów polskich nie mieli, teraz je zaprowadzają.

Z TYGODNIA.

W Wiedniu odbywają się obecnie wspólne narady ministrów austryackich i węgierskich nad sprawą odnowienia ugody między obydwiema połowami naszego państwa. Na podstawie konstytucyi z r. 1867, ma się ta ugoda co 10 lat odnawiać. Chodzi tu o pokrycie wydatków wspólnych na sprawy zagraniczne i na wojsko, co razem wynosi rocznie około 160 milionów zł. Stosunek, w jakim obie połowy monarchii przyczyniać się mają do pokrywania wspólnych wydatków, zależy od umowy, jaką obydwa państwa ze sobą zawierają. Na podstawie umowy dotychczas obowiązującej, musiała Austrya płacić dwie trzecie części, a Królestwo Węgierskie niespełna jedną trzecią część potrzebnej sumy. Ta umowa przestała właściwie obowiązywać już w roku 1897. Ponieważ w tym czasie Węgry znacznie się podniosły pod względem handlu, przemysłu i ogólnego dobrobytu, a przeciwnie Austrya zubożała, przeto słusznie domagali się ministrowie austryaccy, aby Węgrzy znaczniejszą kwotą, niż dotychczas przyczyniali się do pokrycia wydatków wspólnych. Ale Węgrzy ani słyszeć o tem nie chcieli i do porozumienia nie doszło. Wtedy właśnie zaczęły się w Austryi owe parlamentarne zaburzenia i o dojściu do zgody ani mowy być nie mogło. Przedłużano więc z roku na rok tymczasowo dawną ugodę, lecz to tak bez końca trwać nie może, bez wielkiej szkody dla Austryi. I oto w tym celu zjechali się teraz w Wiedniu ministrowie i pod przewodnictwem cesarza odbywają narady. Węgrzy i teraz twardo stoją przy swoich

warunkach i nie chcą podwyższyć kwoty. Wskutek tego, jak donoszą dzienniki, zachwiane jest ministerstwo hr. Thuna i bardzo być może, że będzie musiało ustąpić innemu. Czy temu innemu uda się łatwiej Węgrów namówić do powiększenia kwoty, to rzecz bardzo wątpliwa. Może jeszcze chyba sam cesarz coś poradzi i tę ważną sprawę swojem cesarskiem słowem rozstrzygnie.

Z Francyi niedobre nadchodzą wieści. Minister wojny we Francyi, p. Freycinet, podał się do dymisyi. Powodem tego ma być znowu ta nieszczęśliwa sprawa żyda Dreyfusa. Minister Freycinet był jednym z najdzielniejszych mężów stanu rzeczypospolitej francuskiej. Z powodu nowych doniesień gazet francuskich o niewłaściwościach, jakie zajść miały w procesie Dreyfusa, mnożą się ciągle głosy, dowodzące, że rzeczywiście nader niesumiennie sobie postępowali przeciwnicy Dreyfusa. Pewna wpływowa gazeta donosi, iż żaden z owych dokumentów, jakie znajdowały się w tajnej plice papierów, nie odnosi się do Dreyfusa. Były zaś adwokat Dreyfusa, Demange, oświadcza ponownie jak najstanowczej, iż w roku 1894 podczas procesu Dreyfusa, ani jemu, ani Dreyfusowi nie przedłożono żadnego innego dokumentu oprócz owego osławionego świstka. To samo wynika z najnowszego zeznania pewnego kapitana, które uczynił przed trybunałem kasacyjnym. Senator Trarieux (czytaj: Trarje), znany zwolennik rewizyi procesu Dreyfusa, domaga się w liście wystosowanym do obecnego ministra wojny, aby powołano wszystkich członków sądu wojennego z r. 1894 i wybadano ich, czy ówczesnemu sądowi wojennemu przedłożono rzeczywiście potajemnie sfałszowane tłómaczenie telegramu Panizzardi'ego. Kiedyż nareszcie zostanie załatwiona sprawa, która od lat kilku zakłóca pokój całego kraju!?

Lat 50 minęło, jak dwa największe na świecie mocarstwa, Anglia i Rosya, zetknęły się ze sobą w Azyi. Szczególniej w ostatnich czasach była obawa poważniejszego konfliktu, gdy się oba mocarstwa zeszły w Chinach. Tymczasem w ostatnich dniach pierwszy minister angielski, lord Salisbury, wypowiedział mowę, w której wyraźnie zaznaczył, że Anglia i Rosya zawarły umowę w sprawie chińskiej, tak, że i na daleką przyszłość jakiekolwiek nieporozumienie jest wykluczone.

Pomiędzy Anglią, a rzecząpospolitą Transwaalem, w Afryce południowej, przyszło do groźnego zatargu. Anglia rości sobie prawo do zwierzchnictwa nad Transwaalem i pragnie rej wodzić w rzeczypospolitej. Tymczasem Transwaalczycy nie chcą pozwolić grać sobie na nosie, a o przyczynę zatargu nie tak trudno. Rząd transwaalski robi też już przygotowania do wojny.

Na Filipinach Amerykanie biją się ciągle jeszcze z powstańcami. Telegramy ze źródeł amerykańskich donoszą codziennie o wielkich zwycięstwach wojsk amerykańskich nad powstańcami. Nie ma dnia prawie, żeby Amerykanie nie wysyłali depesz na cały świat, że Filipińczycy w tej lub owej miejscowości zostali na głowę pobici. Wiadomą jednak jest rzeczą, że Amerykanie lubią się bardzo chwalić i podawają często fałszywe, a już co najmniej przesadzone wiadomości. Nie można im zatem wszystkiego wierzyć. Gdyby Amerykanie istotnie tyle razy mieli pobić Filipińczyków, jak donosili i donoszą, to musieliby ich już całkiem wykurzyć i rozpędzić na cztery strony świata. Tymczasem Filipińczycy ciągle się trzymają. Amerykanie pewnie jeszcze długi czas będą telegrafowali o swych zwycięstwach, a z powstańcami swoją drogą staczali goręce i krwawe zapasy. Twardy to lud z tych Filipińczyków. Hiszpanie nie mogli sobie dać z nimi rady, a Amerykanom też stawają kością w gardle.

Prezydent Francyi i jego matka.

We Francyi, jak wiadomo, naród wybiera sobie sam kierownika państwa, który nosi tytuł prezydenta rzeczypospolitej francuskiej i sprawuje swój wysoki urząd przez lat siedm.

Po nagłej śmierci Feliksa Fora (Faure), wybrano, kilka miesięcy temu, prezydentem Francyi Emila Loubet (wymów: Lube), syna włościańskiego z miejscowości Montelimar. Przedtem już dzierżył Loubet najwyższy po prezydenturze urząd we Francyi i co roku spędzał czas jakiś w miejscu urodzenia, u boku swej matki, by dać wyraz przywiązaniu synowskiemu; z drugiej strony podnieść musimy wyrozumiałość matki, która, choć mogła, nie chciała zamienić swej skromnej chatki, swych gęsi i kaczek za wytworny pałac i zbytkowne wygody w Paryżu! U siebie była ona niezależną panią, cieszyła się szczerym szacunkiem sąsiadów i sąsiadek, podczas gdy w Paryżu wiązałyby ją pęta obcych dla niej form towarzyskich, a zaszczyty odnosiłyby się raczej do osoby jej syna, niż do niej.

Emil Loubet, jako prezydent Francyi, nie przestał być Emilem synem, i pierwszą swą podróż z pałacu elizejskiego t. j. rezydencyi prezydentów, skierował ku Montelimar.

Było to 5. kwietnia, tego roku. W towarzystwie ministrów, jenerałów i dostojników państwa, opuścił Loubet w Montelimar wagon i szybkim krokiem wszedł na peron kolejowy, gdzie muzyka wojskowa przywitała go hymnem narodowym, a dygnitarze duchowni, cywilni i wojskowi utworzyli długi szpaler. Wystąpił starosta miejscowy, by przywitać prezydenta Francyi uroczystą przemową, gdy w tem Loubet, wodząc wzrokiem po peronie, zapytał: »A gdzie jest moja matka?« Starosta odrzekł, że pani Loubet odmówiła zaproszeniu przyjścia na peron, nie chcąc przeszkadzać dworskiej etykiecie; życzyła sobie jednak zobaczyć uroczysty wjazd syna do miasta i dlatego zbudowano dla niej w ogrodzie obok starostwa trybunę, z której może wygodnie przypatrywać się pochodowi.

Krótka była ceremonia przywitania na dworcu, bo spieszno było prezydentowi wpierw spełnić obowiązki syna. Szybko wsiadł do bogatej karety, dając rozkaz towarzyszącemu mu oficerowi, by kazał zatrzymać karetę przed ogrodem starostwa.

Niecierpliwie wyczekiwała matka w zwykłym stroju włościanek francuskich i w otoczeniu swych krewnych na wyniosłej trybuniu. Wyjątkowo musiała w tym dniu użyć, mimo niechęci, parasolki, która ją miała chronić nie przed słońcem, ale przed skierowanymi ku niej aparatami fotograficznymi. Ależ oto dźwięki muzyki stają się silniejsze, okrzyki: »Niech żyje Loubet« rozlegają się wyraźniej, a oddział żandarmów i huzarów z dobytemi szablami zwiastuje zbliżanie się pochodu. Ale im donośniej grzmiały bębny, trąby i okrzyki z tysiąca uradowanych piersi, tem większa cisza opanowywała trybunę; serce tylko matki silniej biło, a na twarzy malowała się powaga i spokój. Jeszcze kilkunastu wyższych oficerów na koniach, a z zakrętu ulicy ukazują się grzywy czterech ognistych koni i otwarta kareta; matka w swej pokorze powstaje ze swego miejsca i oddaje najpierw pokłon prezydentowi, spodziewając się dopiero za godzin kilka uścisnąć syna. Wśród ogólnego zdumienia i wbrew ceremoniałowi z góry ułożonemu, kareta zatrzymuje się przed trybuną; Loubet wysiada, przechodzi przez poczwórny szpaler wojska i gęsty tłum ludu wprost do furtki od ogrodu, a ztamtąd w kilku szybkich krokach biegnie z odkrytą głową ku matce, która całkiem na to nieprzygotowana, stała nieruchomo z wyciągniętemi ramionami. Długą chwilę pozostali oboje we wzajemnym gorącym uścisku, okrywając swe łzami zroszone twarze pocałunkami; nie zamienili ze sobą ani słowa, bo i na cóż słów, gdy serce mówi!

Scena ta rozczulająca odbyła się wobec tysiącznego tłumu, który z podziwu oniemiał; i dopiero gdy Loubet zwrócił się ku zejściu z trybuny, zagrzmiały okrzyki: »Bra-

wo Loubet«. Ale Loubet był teraz znowu tylko prezydentem, z powagą królewską wrócił do karety, by potem już według ułożonego ceremoniału odbierać hołdy, winne głowie państwa. Dopiero po ukończeniu oficyalnych przyjęć, wizyt i uczty, późnym wieczorem znalazł czas na dłuższe odwiedzenie matki i krewnych.

A. J.

Nowiny i rozmaitości.

— **Kościół polski w Wiedniu.** Piszą nam z Wiednia pod datą 25. maja: Na ogólnej audyencyi, przyjął Najjaśniejszy Pan dzisiaj deputacyę, składającą się z hr. Karola Lanckorońskiego, radcy dworu Wł. Struszkiewicza i ks. superiora Wł. Jeżewicza, która się przedstawiła w celu podziękowania za oddanie kościoła na Rennweg w Wiedniu dla użytku Polaków. Najjaśniejszy Pan wypytywał się szczegółowo o stan kościoła, wyraził zadowolenie, że kościół został już odnowiony i do użytku oddany i raczył najłaskawiej zrobić nadzieję, że przy sposobności przekona się osobiście o obecnym wyglądzie kościoła. Na loteryę fantową, urządzoną na pokrycie kosztów restauracyi kościoła polskiego w Wiedniu, nadesłali w dalszym ciągu jako fanty: hr. Antoni Wodzicki z Kościelca srebrną tacę złożoną ze starych monet; hr. Zbigniew Lanckoroński z Tartakowa trzy obrazy rodzajowe hiszpańskie.

— **O tysiąc osób** wyludnił się Lwów w ostatnich kilkunastu dniach. Odbywa się mianowicie tłumnie wychodztwo za zarobkiem do Królestwa, gdzie zapotrzebowanie rąk do pracy rolniczej wzrasta ogromnie, bo miejscowa ludność idzie do fabryk w Łodzi, Warszawie, Żyrardowie, Kielcach i t. d. Ruch emigracyjny objął także powiaty galicyjskie i rozlewa się coraz szerszą strugą wobec faktu, że władze nie stawiają wychodźcom żadnych przeszkód, wiedząc, jak u nas trudno o zarobek. Transportem zajmuje się biuro J. Litwińskiego w porozumieniu z warszawską firmą »Wilczyński i spółka«. Dotąd wysłało już kilka dużych partyj wychodczych: we czwartek 25-go 200 ludzi z rodzinami, w piątek 200 robotników borysławskich, pozbawionych pracy, w sobotę 400. W tych dniach organizują się nowe wysyłki: 600 ludzi z brodzkiego (z tego 200 kobiet) i 650 z nadwórniańskiego, w czem kobiet 150. Emigranci jadą do granicy na koszt p. Litwińskiego, stamtąd dalej transportują ich agenci warszawscy. Warunki są stosunkowo dość korzystne: odpowiednio do wieku i płci wynosi miesięczna płaca od 4 rubli 5 kopijek do 6.50 i odpowiedna ordynarya. Praca trwa od wschodu do zachodu słońca. Ugodę zawiera się na 5 miesięcy letnich.

— **W Świętym Stanisławie,** osadzie polskiej koło Halicza, odbyło się dnia 7-go maja poświęcenie szkoły, postawionej wyłącznym kosztem stanisławowskiego Koła pań Towarzystwa »Szkoły ludowej«.

— **Grady** spadły w dniu 25-go maja w Hrusiatyczach pod Bóbrką, w Demni pod Brzeżanami, w Strzeliskach pod Brzeżanami i w Kossowie pod Brodami. Codzień przybywają nowe zgłoszenia w towarzystwie ubezpieczeń w Krakowie, bo panujące chłody zapowiadają dalsze grady.

— **Maj ze śniegiem.** W zeszłą niedzielę przedpołudniem, spadł w Warszawie obfity śnieg i leżał na ziemi przez pół godziny. Także u nas w górach, w okolicach Worochty, spadły wielkie śniegi. We Lwowie było w ubiegły wtorek tak zimno, że ludzie poubierali się w zimowe płaszcze.

— **Samobójstwo.** W areszcie policyjnym w Przemyślu, obwiesił się niejaki Teodor Kozarczuk z Buczacza, podejrzany o szpiegostwo, gdyż znaleziono przy nim rozmaite plany i listy.

— **Emigranci w Poznańskiem.** Do grzechów do nieba o pomstę wołających, należy — jak wiadomo — krzywdzenie służby i robotników. Ale co to obchodzi panów Prusaków. Na folwarku, Chlewo, w Ostrzeszowskiem, należącym do Niemca, obchodzono się wprost po zwierzęcemu z robotnikami, sprowadzonymi z Galicyi i Królestwa. Wszyscy też robotnicy pouciekali, z wyjątkiem dwóch, zmuszonych dalej w tem piekle pracować i ot, co jednego z nich spotkało. Po jakimś czasie gdzieś się był biedak zapodział i nie można go było nigdzie znaleść, aż niedawno znaleziono go, a właściwie trupa jego w dole od kartofli z przywiązanym do ciała dwucetnarowym kamieniem. Poczyniono dochodzenia i sam właściciel zeznał, że robotnika tego zabili włodarz i rządca, potem go owinęli w kożuch, przywiązali ów kamień i wrzucili do dołu. Włodarza wzięto do więzienia, a rządca zbiegł.



Wojna w XX. wieku.

— **Jak będzie wyglądać wojna w XX. wieku,** przedstawia obrazek w dzisiejszym numerze *Niedzieli.* Wiadomo już naszym czytelnikom, że w Hadze odbywa się teraz konferencya pokojowa. Nazywa się ona co prawda bardzo ładnie, bo się nazywa pokojowa. Ale niechże się nikomu nie zdaje, że ta konferencya uchwali wieczny pokój, tak,. że odtąd wojny już nie będzie, że armaty i karabiny pójdą na strych, a rekruci wrócą do uczciwej pracy! Ani mowy! Mybyśmy konferencyę w Hadze, nazwali raczej wojenną, a nie pokojową, bo ona się przedewszystkiem zajmuje prawami wojny,

a przedewszystkiem prawami wojny na morzu, bo tych dotychczas właściwie jeszcze nie było. A pokojowem w niej jest tylko jedno. Oto konferencya dąży do tego, aby się państwa zobowiązały nie wprowadzać już dalszych ulepszeń w uzbrojeniu, a właściwie chce doprowadzić do tego, aby ludzie już nie łamali sobie więcej głowy nad tem, jakby najłatwiej i najwięcej bliźnich w jak najkrótszym czasie namordować. Oby się konferencyi przynajmniej to udało, bo jak tak dalej będą robili wynalazki w sztuce mordowania ludzi, to dojdzie do tego, co widzimy na naszym obrazku. Ludzie już nie będą po ziemi świętej chodzili, tylko będą mieli skrzydła i w powietrzu latali, jak potworne ptaki, jak ten rząd Prusaków w środku, albo jak jakie olbrzymie wściekłe ćmy czy motyle, jak ci całkiem na dole narysowani, a zamiast pięknych koni, będą siedzieli w balonach nadpowietrznych, aby módz tem łatwiej kochanemu bliźniemu łeb skręcić. Twierdze (po lewej stronie) to już będą całe z ogromnie grubej blachy stalowej i będą tylko tyle otworów miały, aby mogły jakiś ogień piekielny wyrzucać. To już będzie wtedy takie mordowanie, że się wszyscy nawzajem pozabijają. Może wtedy nastanie prawdziwy pokój.

— **Połykacz wężów.** Nasi czytelnicy może jeszcze nie wszyscy słyszeli, że są ludzie, co połykają węże, tak jak my kluski. W północnej Afryce mieszkają — jak wiadomo — Arabowie, mający pociąg do nadzwyczajnych rzeczy. Derwisze, czyli kapłanie ich i czarnoksiężnicy, są tam w wielkiem poszanowaniu, to też jest ich tam moc wielka. Są między nimi i tacy, co nawet między Europejczykami wywołują zdziwienie swojemi sztuczkami, jak na przykład, połykacze wężów. Taki derwisz, połykający węże, przybywa do osady arabskiej, otoczony muzykantami, wygrywającymi jakieś dzikie rzeczy na piszczałkach i bębnach. Derwisz rozpościera potem na ziemi kawał szmaty, zakreśla jakieś dziwaczne znaki i wypuszcza z tłómoka kilkanaście wężów, które u stóp jego pełzają, lub kryją się przed światłem słońca. Derwisz wśród dzikich okrzyków zaczyna tańczyć, aż do zupełnego zmęczenia. Nawet węże tańczą z nim razem, kręcąc się w śmiesznych podskokach. Nareszcie derwisz porywa jednego z wężów i połyka w oczach zgromadzonej ludności. Pytanie — czy mu to smakuje?

Co to jest rola?

Jak powstała, jakie są jej gatunki i jak ją rozpoznawać.

(Ciąg dalszy).

— Przypominacie sobie, co wam jednego razu opowiadałem, że rola składa się z gliny, piasku, wapna i próchnicy. Otóż, jeżeli jednego z tych czterech składników znajduje się w roli bardzo dużo, to on nadaje jej pewne szczególne właściwości, tworzy, jak powiadamy gatunek gruntu, który od tego przeważającego składnika swoją nazwę otrzymuje.

Tak na przykład, jeżeli w roli znajduje się bardzo dużo gliny, to tworzy ona odrębny gatunek gruntu, który się nazywa ziemią gliniastą, jeżeli znów rola zawiera dużo piasku, a mało gliny i dwóch innych składników, to powiemy, że to jest ziemia piasczysta. Te ziemie, w których jest bardzo dużo wapna, nazywają się wapiennemi, te zaś, w których przeważa próchnica, próchnicowemi. Tym sposobem, odpowiednio do czterech składników ziemi, mamy cztery główne gatunki gruntów. Do nich dołączyć jeszcze należy ziemie glinkowate i piasczysto-gliniaste, które pod względem swoich własności są tak do siebie podobne, że mogą być uważane za jeden gatunek roli, stojący w środku między ziemią gliniastą, a piasczystą.

— Tak więc, Marcinie, rozróżniamy pięć głównych gatunków roli, do których dają się zaliczyć wszystkie grunta uprawne, jakie gdziekolwiek na świecie się znajdują. Żeby wam się lepiej w pamięć wbiły, jeszcze raz je wam powtarzam: pierwszy gatunek: rola gliniasta, drugi: rola piasczysta, trzeci: rola glinkowata i piasczysto-gliniasta, czwarty: rola wapienna, wreszcie piąty: rola próchnicowa. Każdy z tych pięciu głównych gatunków ziemi, tworzy jeszcze różne odmiany, które pochodzą po pierwsze od różnicy w sposobie powstawania roli i po drugie od jej położenia i podgruntu.

Że sposób powstawania, czyli pochodzenia, wpływa na utworzenie tej, albo owej odmiany roli, to już wam kiedyindziej mówiłem. Wiecie na przykład, że ziemia gliniasta utworzona była przez lodowce, ale wiadomo wam też, że i woda w wielu miejscach naniosła osady gliniaste. Mamy tu więc dwie odmiany jednego i tego samego gatunku ziemi, które każdy znający się na tem, potrafi dobrze rozróżnić. Ale oprócz pochodzenia, na utworzenie różnych odmian gruntów wpływa w znacznym stopniu ich położenie i podgrunt, czyli spód.

Rola piaszczysta w położeniu niższem i ze spodem średnio przepuszczalnym, będzie dużo lepsza, niż ten sam piasek, tylko głęboki i na jakiejś górze położony, gdzie naturalnie będzie cierpiał od braku wilgoci. Ten sam znowu piasek, spoczywając na spodzie bardzo trudno przepuszczalnym, będzie zanadto mokry i utworzy osobną odmianę roli, którą nazywają sapem. Tym sposobem, Marcinie, mamy wiele różnych odmian gruntów, z których każdy jednak da się podciągnąć pod któryś z pięciu głównych gatunków, o których dopiero co wam mówiłem.

O tem, czem się te wszystkie gatunki i odmiany roli odznaczają i w jaki sposób je rozpoznawać, to osobno opowiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Józef Bzowski.

Poradnik „Niedzieli".

Pewien czytelnik *Niedzieli*, włościanin z Osieka, koło Oświęcimia, podaje wynaleziony przez siebie doskonały środek na niszczycieli ziemniaków, zwanych niedźwiadkami, a we wschodniej Galicyi kruczkami.

Szczególniej w ostatnich czasach, namnożyło się dużo tych szkodników, które szczególnie wczesne ziemniaki podjadają i podgryzają. Ziemniak usycha, lud nad tem lamentuje, a nie było na to środka. Otóż ów zapobiegliwy gospodarz, wynalazł dobry środek i podaje go do wiadomości czytelników *Niedzieli* z prośbą o jak największe rozszerzenie wiadomości o nim wśród włościan.

Środek ten nic nie kosztuje, tylko trochę pracy i to lekkiej. Trzeba w bruzdach co 10 kroków zrobić dołek spodem szerszy, albo przynajmniej równy do spodu. Dosyć będzie 4 cale szerokości, 4 długości, a 4 głębokości. Niedźwiadki nocą tam powłażą i zaraz z tamtąd nie będą mogły wyleść. Wczas rano trzeba obejść bruzdy i wyzbierać niedźwiadki do miseczki, poczem je zniszczyć lub dać na żer kaczkom.

W ten sposób można po jakimś czasie zupełnie wytępić niedźwiadki na swoim zagonie.

Korespondencya Redakcyi.

— *Szan. Pan Franciszek Wójcik, poseł na Sejm krajowy, w Wyciążu.* Zaproszenie otrzymali wszyscy posłowie ludowi w kraju. Wdzięczni będziemy za wykonanie naszej prośby.

— *Pan Antoni Wadas w Jodłowej.* Dział »Nowin i Rozmaitości« *Niedzieli* będzie wkrótce znacznie powiększowy. Prosimy o artykuły wszelkiej treści, ktore po umieszczeniu będą honorowane.

— *Pan Ferdynand Dittrich w Łanczynie.* Trudno wszystkim dogodzić. *Niedziela* jest tygodnikiem, więc wiadomości światowe podawać może tylko w streszczeniu tego, co się w ubiegłym tygodniu stało. Równocześnie z Waszym listem, otrzymaliśmy list od pana Andrzeja Średniawskiego, szanownego posła na Sejm krajowy, w którym wyraża nam uznanie za tyle potrzebnych i dla ludu pożytecznych wiadomości, znajdujących się w *Niedzieli.*

Trochę śmiechu.

Odważny Jankiel.

— Cóż Janklu, puściłbyś się balonem?

— Owa! dlaczego nie? tylko coby balon był wypchany nie z gazem, ale z guldenami.

U cyrulika w miasteczku.

— Co wy mnie Icku, tak trzymacie za nos podczas golenia.

— Jaki ty głupi Wojtek! przecie żyd jest od tego, żeby chłopa za nos trzymał.

Wiadomości handlowe.

Ceny zboża za 100 kilo bez worka.

(Notowania Banku rolniczego we Lwowie).

Pszenica gotowa	8·70	do	8·90
Pszenica na termina	—·—	»	—·—
Żyto gotowe	6·40	»	6·60
Żyto na termina	—·—	»	—·—
Owies obroczny stary	5·80	»	6·20
Owies nowy	—·—	»	—·—
Jęczmień pastewny	5·—	»	5.50
» browarniany	6·—	»	7·—
Rzepak	9·50	»	10·25
Lnianka	—·—	»	—·—
Groch pastewny	5.25	»	5·50
» do gotowania	6·—	»	7·—
Wyka	4·50	»	5·—
Bobik	4·50	»	4·75
Koniczyna czerwona	—·—	»	—·—
» biała	—·—	»	—·—
» szwedzka	—·—	»	—·—
Tymotka	—·—	»	—·—

Kalendarzyk tygodniowy.

Czerwiec.

Uroczystości świętych:

4. Niedziela: Kwiryna.
5. Poniedziałek: Bonifacego.
6. Wtorek: Norberta.
7. Środa: Roberta.
8. Czwartek: Medarda.
9. Piątek: *Serce Jezusa.*
10. Sobota: Małgorzaty.

Nakładem »Macierzy Polskiej«. Odpowiedzialny Redaktor: **Michał Lityński.**

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.